Tom VIII. Nr. 17.

11. Czerwca. 1863.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztowę 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Ogród Eliasza.

W świętej ziemi, gdzie to żyło tyle patryarchów i proroków i kędy to chodził i nauczał najsłodszy Pan Jezus, jest wielka góra, nazywana dotąd górą Karmel. Na tej górze stoi murowany klasztor, gdzie mieszkają zakonnicy nazwani Karmelitami. Jak wiecie, że dużo pobożnych królów i panów i xięży i rolników chodziło co rok w tamte kraje, gdzie to umarł za nas grzesznych najświętszy nasz Pan Jezus, aby zwiedzić grób święty i ucałować tę ziemię świętą. Otóż i z polskich krajów chodzili tam i króle i pany i xięża i chłopi pobożni i widzieli na swoje oczy wszystko. Niedawno była tam kompania pobożnych ludzi z Polski, która zwiedziła grób Pański, a potem poszła i na górę Karmel, aby zobaczyć dawny klasztor. I po odbytej tam świętej spowiedzi i komunii miała ta kompania odchodzić już do dom, poszła też prosić jednego zakonnika, aby pobłogosławił na daleką drogę. A zakonnik pomodlił się i pokropił święconą wodą lud polski i jeszcze odprowadził spory kawałek drogi. Aż naraz przyszła kompania na jedno miejsce, co się zowie ogrodem Eliasza — ale w tym

ogrodzie nie ma nic tylko okrągłe kamienie i ziemia jakby ją tłuczonemi kamieniami posypał. Stanęła kompania polska i jeden się pyta:

— Mój Jegomość! cóż to mi za ogród taki, gdzie nie ma ani krzaka, ani drzewa, ani trawy, jeno kamienie i nic więcej?

Zakonnik: Zaczekajcież chwilkę, to ja wam opowiem historyę o tym ogrodzie, abyście w polskich krajach opowiedzieli waszym braciom, co to się stało na tem miejscu. Prawda, że to już bardzo dawno, bo to jeszcze przed narodzeniem Pana Jezusa, to jeszcze wtedy, kiedy tu na tem miejscu żył i mieszkał święty prorok Eliasz.

I cała kompania stanęła, każdy obrócił oczy na xiędza i nadstawił ciekawie uszy, aby dobrze wyrozumiał, co to xiądz miał opowiedzieć o tym dziwnym ogrodzie.

Zakonnik: Otoż tu mieszkał jakby na pustyni bardzo dawno święty Eliasz prorok, ale on tu nie próżnował, tylko się modlił i nauczał małych chłopców o Bogu, o dobrem życiu i o tych królach i ludziach, co to na tej świętej ziemi żyli, a żył tylko wodą i sadowiną i korzonkami, a czasem chlebem, jeźli mu go jaka miłosierna ręka podała.

A jeden ciekawy chłop polski mówi:

— To to dla tego nazywa się to miejsce ogrodem Eliasza, że tu żył ten święty prorok.

Zakonnik: A to mówicie prawdę. Ale nie wiecie jeszcze, zkąd tu te kamienie rozmaite się wzięły. Otóż słuchajcie dalej.

— Na tej górze mieszkali tu i inni ludzie, co to mieli tu swoje grunta, swoje budynki i gospodarstwo całe. A był tu osobliwie jeden taki gazda, co się miał nieostatnio, miałci on zabudowania ładne, bo dbał o to, miał bydełko, bo chodził pilnie koło niego, miał studnię w kamieniu wykutą; miał ogród i sad aż miło powiedzieć i całe gospodarstwo co się zowie. Było u niego pracy nie mało! Ale wiecie, bo to i u was w Polsce tak się przytrafia, że kto ma dużo to jeszcze więcej łaknie i drze i zazdrości, a trzyma wszystko w rękach aż piszczy i nikomu by nie dał ani okruszki suchej.

A na to chłop jeden polski mówi:

— Oj to prawda święta mój Jegomość! że też to na ca-

łym świecie muszą być tacy łakomcy, a toć przecież nic nie warta taki człek, co to ma od Boga dosyć, a drugim zazdrości i wydarłby im nawet z gardła — a toć śmierć dmuchnie albo i Pan Jezus chuchnie i już cię nie ma grzeszna duszo na ziemi i twych skarbów!

Zakonnik: Otóż widzicie święty Eliasz prorok, co tam nie miał nic przy sobie, ani siał ani orał jak te ptaszki niebieskie, a przecież trza było się czemś koniecznie pożywić, aby żyć i Bogu i ludziom uczciwie służyć, otoż ten święty mąż był nieraz zaproszony od gospodarzy do domu i był tam mile przyjmowany i uraczony od nich. I nie raz dostał od nich na drogę to bocheneczek chleba, to suszonę rybką, to sadowinę w worku lub w chusteczce, albo też znowu inny jaki miłosierny zaniósł mu z dobrej chęci co do pożywienia tam do tej pustyni, gdzie on miał izbinę bez okna i drzwi i bez pościeli, i to izbinę wykutą w skale, aż strach o tem wspominać.

Zaś ów jeden gazda, o którym wam mówiłem już pierwej, co to się miał nieostatnio, był jakiś hardy, nieprzystępny, łakomy; dość że ludzie tak o nim mówili; czy to sprawiedliwie, to wie sam Bóg! Dowiedział się o tem i święty Eliasz, a że ten święty chciał każdego poprawić, boć on tam i samemu królowi nie pobłażał i nie pofolgował, jak król co złego lub krzywdę komu zrobił, więc raz poszedł on do domu tego gazdy, aby się przekonać, czy to prawdę ludzie mówili. Więc idzie sobie ten święty ścieżką do domu tego gazdy, ubrany ubogo z laseczką w ręku, a gazda zły krzyknie:

— Huzia! huzia psy dziada! po co on tu przychodzi, aby co wypatrzyć i porwać! Ale psy przybiegły, powąchały i odeszły spokojnie,

A kompania na to zdziwiona mówi:

— O to był niedobry gazda! bo gdyby był szczuł psami i dziada, to grzech za to wielki, ale on szczuł świętego męża, który szedł go poprawić i na dobre mu poradzić i przyczynić się do jego szczęścia i zbawienia, o to strasznie zły człowiek!

Zakonnik: Otoż święty prorok idzie dalej do tego gazdy, a tu budynki aż miło popatrzyć i pełno tam chleba, coby i na długie lata wystarczyło; idzie dalej, a tu śliczny sadek i ogród,

na sadzie owoców różnych aż konary na ziemi końcami leżą, aż liścia mało co widać z pomiędzy jabłek i gruszek, na grządkach leżały ogórki jak kukiełki, dynie jak konwie, melony i arbuzy jak cebrzyki, a w około trawnik aż miło.

I pyta święty prorok gazdy:

— Musicie mieć podostatkiem chleba w stodole, bo jużci to widać po budynku?

A gazda mu gada nieprawdę:

— Ej gdzie tam jest chleb jaki, ja nie pamiętam, kiedym kosztował chleba w domu.

A święty prorok rzecze dalej:

— No! może być, że nie macie chleba, ja was też o niego nie proszę, ależ macie sadowiny i ogrodowiny podostatkiem, boć to widać, a ja strudzony drogą i pić mi się bardzo chce, podarujcie mi też choć te jabłka i gruszki, które obleciały od wiatru, albo urwijcie mi też choć jeden ogórek, bom spragniony a tu strasznie gorąco dziś.

Na to gazda odpowiada:

— Te jabłka i gruszki są bardzo kwaśne i niedobre, aż język trętwieje, ktoby je skosztował a o jedzeniu ani mowy nie ma. A ogórki i melony to jedne są zgniłe i niesmaczne a drugie jeszcze zielone; ja sam jeszcze nie kosztował ich.

A święty mąż odpowie mu:

— No! chodźmy do ogrodu i sprobójmy choćby jedną gruszkę, choćby jeden ogórek, a ja strasznie spragniony, aż mi stare i dychawiczne piersi wyschły, albo przynajmniej dajcie choć łyżkę wody do picia.

A gazda niedobry odpowiedział:

— Woda daleko od domu mego, a ja sam w domu to nie mogę odejść.

Na to święty mąż rozżalony mówi:

— Toć macie studnię w kamieniu wykutą i musi tam być woda czysta i zimna.

A gazda już trochę gniewny gada:

— Studnia głęboka, a ja zasłaby i nie wyciągnę wody sam.

A święty prorok radzi mu:

— No! pójdźmy do studni, to ja sam starą ręką moją będę ciągnął wodę.

I poszli do studni, a ledwo się tknął ręką naczynia mąż Boży, naczynie ledziutko spuściło się do studni i wyszło z wodą, wtedy napił się wody prorok i odpoczywał jeszcze. I nuż z tym gazdą w rozmowę, aby go poprawić, aby mu serce kamienne skruszyć i mówi słodko:

— Przecież nie ma tu u nas biedy! ot jak te owoce dojrzeją, jak te dynie i melony dojdą, to będziecie mieli na jesień czem żyć a może się też z tego i drugiemu biednemu co okroi.

A gazda w gniewie odpowiada:

— Co by tu mogło być dobrego na tych kamieniach, toć to grunt skalisty, tu nic nie może być, chyba kamienie na kamieniach.

Na te słowa puściły się łzy z oczu świętego męża, jakby drobne kamyki białe i poleciały mu po sukni aż na ziemię, a mąż Boży wstał i żegnając gazdę złego powiedział:

— Ha! kiedy mówisz że tu tylko kamienie mogą róść, kiedy nikomu nic nie udzielisz i jeszcze dziada psami szczujesz i kiedy nawet wody żałujesz podróżnemu i niechcesz dać nawet nadgniłego jabłka i ogórka mnie staremu za to żem tu szedł do ciebie, aby cię poprawić i na dobrą drogę prowadzić i kiedy się jeszcze za to na mię gniewasz i fukasz, to niech ci tu Bóg daje same kamienie! I odszedł mąż Boży.

I patrzcie co się stało!

Oto drugiego dnia, ledwo dzionek się zrobił, wychodzi gazda pod sad zbierać obleciałe owoce, a tu stoją drzewa bez liści suche jakby ich ogień spalił, a cały ogród to kupa kamyków okrągłych i podługowatych, boć wszystko to zmienił Bóg wszechmocny i sprawiedliwy w kamień na słowo i na łzy tego męża Bożego. I do dziś jest ten ogród kamienny taki sam jaki był wtedy.

I rozpłakał się zakonnik pokazując ten ogród kamienny kompanii polskiej i nie było tam w całej kompanii ani jednego oka suchego i pożegnał kompanią mówiąc:

— Idźcie z Bogiem do waszego kraju, opowiedźcie tę historję waszym braciom i pamiętajcie abyście nie byli takimi

jak ten gazda niemiłosierny, ale abyście byli dobrymi i miłosiernymi dla biedaków i nędzarzy, dla kościoła i dla ludzi wszystkich, a osobliwie dla wszystkich polskich braci waszych!

I wróciła kompanja do dom szczęśliwie a ja też usłyszawszy tę historję od tych ludzi, wam moi kochani opowiadam ku zbawieniu i szczęściu waszemu.

X. Wojciech z Medyki.

MŁYNARZ.

— Pojadę ja parobeczek, pojadę,
Do starego młynarza po radę,
Zaprzęgę ja dwa koniki wrone,
Pojadę ja przez łąki zielone.
I zajechał prosto do podwórza,
Do starego młynarza, do wróża.
— A witajże Bartoszu chłopaku,
Pewnieć trzeba stępy do rzepaku,
Albo żyto zwiozłeś do mielenia,
Lub na krupy nowego jęczmienia?
Odpocznijże sobie mało wiele,
Aż się zboże nałożone zmiele.
— Oj nie po to przyjechałem ja tu,
A to radźcie mnie i memu bratu,
Bo nas straśnie obie garście swędzą,
Pewnie nam się pieniądze napędzą.
— Ale, ale, rzecze młynarz stary,
Prędzej się z kim weźmiecie za bary,
Bo już ście chłopcy moi mili,
Od dawnego czasu się nie bili.
— Zaś tatulu chociem się nie kłucił,
Alem wczora w karczmie Florka rzucił,
Kiej się człowiek gorzałki napije,
To się ano tak z pustoty bije.
— To źle bratku, czy ci Bóg dał pięście,
Żebyś swoim wyrządzał nieszczęście?
Jest ci inne na świecie plugactwo.
— A! rozumiem, pewnie co kozactwo.
No, to jedno; a wedle drugiego,
Powiedzcie mi tatulu dla czego

Nasze konie trawy mało szczypią,
Jeno parszczą a nogami rypią?
— A to widzisz radeby leciały,
Żeby dobrych gospodarzy miały;
Ale wy to siedzicie jak żaby,
Albo jako przy kądzieli baby.
— Zaś tatulu odwoziłem wczora
O trzy mile kwestarza z klasztora.
— Widzę bratku żeś ty Mazur ślepy,
Całe życie będziesz nosił cepy,
Koń mądrzejszy radby leciał dalej.
— Eh! rozumiem, pewnie na Moskali!
— A czy nie wiesz, że się nasi biją
Z Moskalami! — O Jezus Maryo!
Krzyknął Bartek, widzita, widzita,
Dosiadł wozu i ruszył z kopyta:
Nie rychło nas tatulu ujrzeta,
Bądźcie zdrowi ojcze, heta, heta!

Teofil Lenartowicz.

Rzetelny kmieć Michał Wabik.

Jakoś jeszcze w lecie przeszłego roku wypadło mi jechać do Brzeźnicy, wioski o trzy ćwierci mili od Bochni położonej. W połowie drogi ciągnie się tam las Przysieki, przy którym kilka chat jest rozrzuconych, a tuż przy gościńcu stoi krzyż z ukrzyżowanym Zbawicielem, w około sztachetami obwiedziony.

Owóż jadąc tamtędy krzyż ten bardzo mię zastanowił. Więc napotkawszy tamecznego jakiegoś gazdę rozpytałem się zaraz o tym krzyżu i kto go przy gościńcu postawił?

Wtedy gazda ów tak mi jął opowiadać:

— Będzie temu sporo czasu, kiedy w czwartej odemnie chałupie mieszkał zamożny kmieć Stanisław Wabik, który już kilka lat jak nie żyje. Był ci sobie z niego człowiek niezmiernie zacny, zgodliwy i pracowity. Co niedzielę widziałeś go w kościele w Brzeźnicy, a czasem jeździł do Bochni na nabożeństwo. Zawsze nosił ze sobą xiążkę do modlenia, a w czasie mszy świętej śpiewał on z organistą nabożne pieśni, zaś w Boże Narodzenie jak zanucił kolędę, to aż odsłuchać się nie można

było, i niech się schowa przed nim każdy organista a nawet i miejski.

To też Pan Bóg miał go w szczęśliwej opiece u siebie. Szczęścił mu we wszystkiem, bo i chudobę miał piękną, domek okazały, ogródek piękny a i grosika nie mało w drewnianej skrzyni. Jednego tylko mu brakło i tego nie mógł się odżałować, a to iż nie miał więcej dzieci tylko jedynaka Michałka.

Jednakowoż nie gryzł się tem, bo wiedział doskonałe, że to już taka wola Boża, a za to wziął na własne wychowanie dwoje dziewcząt sierotek po swoim ciotecznym bracie, które potem powydawał za uczciwych chłopców.

Stanisław nikogo nie skrzywdził w całem życiu, każdemu oddał co się mu należało, a szczególnie sumiennie płacił robotnika, bo znał dobrze, jakto każdy ciężko musi pracować, aby wyżywić żonę i dzieci. Słowem był to człowiek jakiego we dnie ze świecą poszukać.

Kiedy właśnie Michałek ożenił się na drugiej wsi z ubogą ale pracowitą dziewczyną, umarł Stanisław, a cały dobytek spadł na Michałka.

Płakał on dnie i noce za dobrym ojcem, bo miał bardzo czułe serce. Zaś ze swoją Marysią żył spokojnie w ojcowskiej chacie, aż jednego razu, a było to prawie w zaduszny dzień wieczorem zasnął, a we śnie zdało mu się, że widzi siedzącego ojca na jego łóżku. Osłupiał niby na to widzenie, ale gdy się lepiej przypatrzył, naprawdę, jak sam opowiadał, zobaczył swego ojca, który się tak do niego odezwał:

— Przychodzę tu do siebie mój kochany synu aże z tamtego świata, abyś mię poratował w mojem nieszczęściu. Wiadomo ci że za życia mojego nikt na mnie nie narzekał, bom sprawował z każdym jak się patrzy; każdemu wypłacałem zarobione pieniądze; jakoż raz tylko przez zapomnienie nie dałem zapłaty młynarzowi Walentemu za mlewo, a za to pokutuję tu już trzeci rok a pokuta moja jeszcze się nie skończyła. Pan Bóg krzywdzicieli i gnębicieli tutaj okropnie karze i wielkie ponosić muszą męki i katusze. Osobliwie zaś ci, którzy swoim służącym zapłatę zatrzymują. Otóż idź do tego młynarza, zapłać

mu należytość, daj na mszę świętą, a będzie ci się dobrze powodziło na świecie, a mnie przysporzysz niebieskiej radości!

I w tem znikł Michałkowi ojciec przed oczyma.

Owóż gdy się obudził nad ranem, zebrał się czemprędzej, poszedł do Walentego młynarza i tak doń prawi:

— Popatrzcie też mój Walenty w waszej xiążce, czy mój nieboszczyk ojciec nie został wam kiedy dłużnym za mlewo?

Młynarz wypatrzył się na niego, aż po chwili zaglądnął do xiążki i patrzy, a tu rzeczywiście Stanisław za jedno mlewo nie zapłacił.

Michałek zaraz wyliczył co się należało, a potem pobiegł do xiędza proboszcza i dał na mszę świętą za duszę swojego ojca.

Jakoż na drugą noc przychodzi znowu we śnie do niego nieboszczyk ojciec z jaśniejszą już twarzą i zawoławszy tylko:

— Dziękuję ci, dziękuję kochane dziecko! teraz już jestem wolny od mąk i zaczynam zażywać szczęścia wiecznego! zaraz znikł i już się nigdy nie pokazał Michałkowi.

Na tę pamiątkę postawił on krzyż przy drodze, na którym oprócz Pana Jezusa, kazał wyrznąć figurę św. Stanisława, a pod nią te słowa:

Święty Stanisławie
Tyś i u Boga w sławie;
Biskupie krakowski —
Módl się za lud polski!

Michałek tak samo jak i ojciec jest bardzo poczciwym i rzetelnym człowiekiem, wszyscy go kochają, ale teraz nie mieszka w chacie ojca, jeno w drugiej wsi, gdzie pojął sobie Marysię za żonę.

I na tem kończył ów gazda swoje opowiadanie.

— Mój Jezusie! — rzeknę ja do niego — a wieleż to ludzi teraz ma w krzywdzie bliźniego upodobanie; wieleż to czyha, aby tylko drugiego złe spotkało; sąsiad sąsiada procesuje, a potem się cieszy i raduje jakby tysiące miał z tego, a o miłości ani o rzetelności nie pomyśli....

— Oj miły człeku! — przerwie on — źle teraz na świecie ale pamiętajcie, że dobytek na krzywdzie ludzkiej zbudowany na nic się obróci, bo czy pierwej czy później sprawiedliwy Bóg

do szczętu go wyniszczy. Dawniej inaczej bywało na ziemi naszej. Każdy dla bliźniego byłby serce swoje wyjął z piersi, to też złote pierwej były czasy. Pan Jezus dawał śliczne urodzaje, bogactwa było co nie miara, dla tego też fundowali ludzie przewielkie kościoły, a teraz — kiedy krzywdę i łakomstwo rozsiali złe duchy po świecie, bieda i złe czasy. Bóg by dał, żeby się ludzie już raz poprawili, żeby słuchali świętego kościoła, a byli przytem rzetelni i poczciwi jak Michałek i jego ojciec, to pewnie inaczej działoby się na świecie. Bóg jest nieodmienny, jak dla przodków był miłosierny, tak i nam nie odmówiłby miłosierdzia swojego!....

— Bóg zapłać za dobre słowo, które oby się przyjęło w sercach ludzi! — powiedziałem, a potem poszedłem pod krzyż, oglądnąłem go do koła, zmówiłem pacierz i wieczne odpoczywanie za duszę Stanisława i pojechałem swoją drogą. A teraz podaję o tem wszystkiem dla was kochani bracia do Dzwonka na przykład i naukę.

Józef z Bochni.

Pogadanka starego rolnika.

Żebyście wiedzieli moi kochani, co to niedawno temu był za rejwach pomiędzy ludźmi w Marusicach, to ażbyście się za głowy pobrali. Otóżto z lichej przyczyny taka się stała sprawa.

Pan w Marusicach co prawda, nie jest święty, troszkę może impetyk, czasem fuknie, pogrozi, kiedyniekiedy i stuknie, ale zawdy poczciwy szlachcic; nikogo nie skrzywdzi, ubogiego poratuje, sieroty przytuli, i nad chłopami prawie nie panem, jeno jakby prawdziwym ojcem, bo choćby w ogień to pójdzie, a krzywdy żadnemu nie da zrobić. Ale ludowina w Marusicach, zwyczajnie jak prosty ludowina, niby to wszystko uznaje w swoim panu, jednak czasem bąknie takie słówko, coby nie wypadało i przez to więcej sobie niż panu szkody przynosi. Tak się i teraz stało.

Kiedy na Nowy rok był we dworze obrachunek z gromadą, i co wypadło z zarobku, każdemu co do grosiczka wypłacone zostało, a innym dług zapisano na odrobek, pan zawołał je-

dnego gospodarza Mateusza Puślika do swojej kancelaryi, i rzekł mu:

— Słuchaj Matus, wiem żeś poczciwy człowiek, kochasz i boisz się Boga, do pracy się nie lenisz, z gorzałką się nie lubisz wdawać, krzywdy ani ludziom ani dworowi nie robisz; więc żeby wynagrodzić twoję poczciwość i pokazać ci, że ja takich ludzi choć są biedni, kocham i szanuję jakby swoich braci, to dług, co mam u ciebie wynoszący ośmdziesiąt dwa złote i groszy piętnaście daruję ci, i od dziś dnia wszelki zarobek wypłacać ci będę bez żadnego potrącania.

To wyrzekłszy pan, otworzył xiążkę, co w niej zapisywał wszystkie obrachunki z gospodarzami, przemazał dług i dopisał, że takowy przez Puślika w dniu dzisiejszym zapłacony został.

Mateusz jak to zobaczył, z wdzięczności i rozczulenia aż się rozpłakał i całując w kolana poczciwego pana, rzekł:

— Prawda wielmożny panie, co mnie Bóg nawiedził gradem i od tego czasu rady sobie dać nie mogę, aleć ja taki grzeszny człek jak i drudzy, tom może i nie wart tam takiego nad sobą miłosierdzia.

Kiedy się wiadomość o tem rozeszła po wsi, ludziska jedni pokręcili głowami, drudzy pochwalili, inni znowu trocha w sobie poczuli zazdrości, a inni nareszcie poszli po rozum do głowy i dalejże penetrować, jakby z tego jaką korzyść dla siebie wyprowadzić. Krętu więc wętu, dwóch gospodarzy, co także dłużni byli dworowi, uradzili, żeby pójść do pana i prosić go, aby im tak samo darował jak Mateuszowi Puślikowi. Kiedy rzecz całą i pokornie i grzecznie przełożyli, pan troszkę się zdumiał, boć przecię o darowiznę czego, samemu przymawiać się nie wypada, i wysłuchawszy wszystkiego, rzekł:

— Moi ludzie, Puślikowi dług darowałem, bo biedny i do tego nie z własnej winy, ale z dopustu Bożego; to takiego ratować sam Jezus Chrystus w ewangielii nakazuje. Wy zaś, że jesteście biedni, toście sami temu krzywi; bo tobie mój Józefie gorzałka to najlepsza przyjaciołka, a tobie Urbanie ręce strasznie od roboty uciekają. A że ani gorzałka, ani próżniactwo chleba nie dają, tylko go z chałupy wypędzają, więc cóż

dziwnego, że u was bieda, grosz grosza goni i wiecznie siedzicie w długach po uszy?

— A wielmożny panie, odezwali się na to oba gospodarze z niskim ukłonem, to my już najgorsi we wsi czy co, przecieć nie kradniemy, nie...

— Jacy wy jesteście, przerwał pan, to was moje dzieci Bóg najlepiej kiedyś osądzi. Ja wam tylko powiem, że Puślik oprócz poczciwości, której mu nikt nie zaprze, ma przytem przychylność dla dworu, nie zrobi mi ani w łąkach ani w zbożu szkody, dług odrobi jak wypada, co dworskie to uszanuje i zawsze okazuje, że ma życzliwość w sercu. Wy zaś nie tacy; dla tego co zrobiłem Puślikowi, tego wam zrobić nie mogę — darowałem mu, to swoje, to wolno mi, wreszcie takich darowizn każdemu robić nie mogę, bo niedługo wyszedłbym z Marusic o kiju. I ja moi kochani mam swoje różne kłopoty, wyście winni mnie, i po troszku bez prowizyi wypłacacie się robocizną, ja także ludziom winienem, ale płacę co rok różne prowizye i po troszku wypłacać się nie mogę. Wam ja poczekam i poratuję w potrzebie czy zbożem czy pieniędzmi, mnie nikt czekać nie będzie, nie doda i jeszcze ze wsi wypędzi, jak w terminie zapłaty nie dopełnię...

— A jużcić, prawda wielmożny panie, prawda, przerwali gospodarze, kłaniając się, a pan mówił dalej:

— Wy płacicie podatki i ją płacę większy, niż wy wszyscy razem we wsi. Wy potrzebujecie pieniędzy na życie, na ubranie, na gospodarstwo, i mnie darmo nikt nic nie da, a jak porachujecie, co tu ludzi żyje przy dworze, to najlepiej się przekonacie, co to na to trzeba wydatku. Wypadnie się gdzie za was nadstawić, osłonić, poratować, to czyja wtedy trzeszczy kieszeń? jużcić moja, nie wasza. Więc i ja widzicie darowiznami szastać nie mogę, bo i moja rola nie rodzi pieniędzy, tylko zboże jak i wam — dlatego idźcie z Bogiem i nie naprzykrzajcie się o to, czego wam nie mogę i nie powinienem zrobić, bo co innego wy, a co innego Puślik.

Mowa ta pańska strasznie poszła chłopiskom po nosie, podrapali się po głowie, a gdy zaszli do karczmy dla pocieszenia się, jak powiadali, w ciężkim swym frasunku, wypiwszy

do jednym i po drugim kieliszku, Józef spluwając, rzekł do Urbana:

— Mój Urbanie, tu cosić w tem jest.

— Bogać ta inaczej, odrzekł Urban, przyciskając żarzący się węgiel na fajce.

— Bo ino zważcie, ośmdziesiąt i dwa złote darować niewiadku dla czego, to nic po próżnicy.

— Pewnikiem, nie po próżnicy.

— Bo dla czegóż dla nas dziedzic taki twardy, kiedy dla Puślika tyle miał w sercu miękkości.

— Ha! a któż go ta wie.

— Wy nie wiecie, ale ja wiem mój Urbanie, odrzekł na to Józef, stawiając nogę na obcasie i zakładając z jankurem ręce za pas, ja wam powiem: niezawodnie przysłano mu pieniędzy i kazano między nas rozdać na zapomogę biedniejszych. W mieście to się wszystkiego dowiemy; więc jak dziedzic odebrał, tak naprzód sobie potrącił dług Puślika, a co nam wypada, to schował i nie chce dać teraz, ale się wymawia i wymawia.

— Co, nie chce dać — co, schował dziedzic? zapytała stojąca na boku kobieta co przyszła do karczmy za solą, rada wszystko wiedzieć, podsłuchać i potem z plotką oblecieć wieś całą.

— Ej! co tam się kobieta ma wtrącać w chłopskie interesa, odrzekł Urban nie bardzo lubiący trajkotkę wiejską — to chłopska, a nie babska sprawa.

Walkowa, bo takie jej było imie, na te słowa bardzo się rozgorgoliła, tupnęła więc nogą, fuknęła i na Józefa i na Urbana i rzekłszy, że się obejdzie bez nich i że wszystko i tak wie dobrze, trzasnąwszy drzwiami, wyszła z izby karczemnej.

Niedługo po całej wsi już chodziła wiadomość, że do dworu na zapomogę dla włościan przyszły znaczne pieniądze, że widziano jak je przywieziono, że dziedzic tylko za Puślika dług sobie potrącił, resztę schował dla siebie, i że ino upomnieć się dworowi, to pewnikiem wszystko wyda, bo się dziedzic będzie bał kary. Rada więc w radę, jak poczęto penetrować, naradzać się i przemyśliwać, tak uchwalono, żeby pójś do dworu i prosić dziedzica o wydanie tego, co przynależy. Dziedzic ma się

rozumieć, zdumiał się niepomału, że to, co pochodziło z jego poczciwości, przez całą gromadę uznane zostało za nakaz, za powinność, i przełożywszy wszystko jak wypada, dodał wreszcie:

— Moi ludzie, jeżeli mnie nie wierzycie, chociaż nigdy w niczem, nawet w najmniejszej rzeczy was nie oszukałem, to popytajcie się kogo innego. A teraz idźcie z Bogiem, z podobnemi interesami nigdy do mnie nie przychodźcie, bo wierzcie mi, że każdy może wam obiecać złote góry, ale tylko jeden dwór, co na prawdę was wesprze i poratuje.

Zrazu słowa te dosyć przekonały gromadę, jaki taki zaczął folgować w swem podejrzeniu, ale gdy wyszli z podwórza dworskiego, i na nowo rozpoczęli o tem gadkę, tak podzielono się na dwie partye, i jedni utrzymywali, że dziedzicowi należy wierzyć, bo wszystko przełożył i mądrze i poczciwie, drudzy zaś, że należy tę rzecz lepiej jeszcze wypenetrować. Od gadki do gadki, od przymówki do przymówki, pomału przyszło do kłótni, a gdy wtłoczono się do karczmy, i kieliszek jeden i drugi zakręcił w czuprynie, zaczęto sobie przypominać to i owo, mieszać, łączyć jedno z drugiem, odgrażać się, przezywać, wyciągać pięście, wrzeszczeć, krzyczeć, przeklinać, że szum i wrzawa daleko rozchodziły się po wsi całej, jakby od kół młyńskich, kiedy na nie woda spada i obraca. Na nieszczęście wpośród największego krzyku drzwi się otworzyły, i wszedł niemi Mateusz Puślik. Połowa większa, co była w zazdrości o przyjaźń dworu dla niego, zyzem spojrzało na poczciwego gospodarza i poczęła między sobą szeptać:

— Lizuś dworski, pochlebca...

Puślik usłyszawszy to, zmarszczył brwi, ale się wnet uspokoił, uśmiechnął trochę smutno i rzekł:

— Że dworowi życzę dobrze, że przestrzegę go o każdej krzywdzie, to się tego nie zapieram, i robię to w oczach ludzkich nie tylko ja sam, ale takim jest Janek Goździak, co pojechał do bratanków, Modras i inni, bo na poczciwych ludziach Bogu dzięki w naszej wsi nie zbywa. O przezywanie więc wasze nie stoję, bo mi nie o was idzie, ino o moje sumienie, i gadajta, co się wam podoba.

Mowa ta kilku chłopów dotknęła, palnęli więc jeszcze po kieliszku, i jak wzięli na języki Puślika, tak nim zaczęli obracać, że aż chłopisko się zniecierpliwił, i fuknął na nich, aby go zostawili w spokojności. Wrzaśnięto więc gwarnie na biednego Mateusza, nazwano go hardziochem, a gdy dwóch przyskoczyło i ująwszy silnie za ożydle, zawołało:

— A co ty se myślisz?

Syn Mateusza ujmując się za ojcem, nie namyślając się, tak potężnie kijem palnął przez twarze, że obadwa napastnicy odskoczyli, łapiąc się rękoma za nosy. Z takiego ma się rozumieć poczęstunku przyszło do ogromnej bójki i jak się zaczęli jedni za drugimi ujmować, tak w końcu nikt nie wiedział, kto za kim trzyma — i niezawodnie bez wypadku jakiego nie byłoby się obeszło, ale kilku poczciwszych i przytomniejszych porwało za konewki i zaczęło chlustać na bijących się wodą, która pomału tak ich ochłodziła, że przecieć upamiętali się.

Mateusz Puślik, co przeciw niemu najwięcej się do bicia porywano, wyszedł z karczmy nawet nietknięty, a ci właśnie, którzy pierwsi bójkę rozpoczęli, tak zostali poturbowani, że jeden tydzień odleżał w domu, a drugi ze dwa tygodnie chodził zapuchnięty jak nieboskie stworzenie. Wszystko się jednak kończy na świecie, jedna tylko chciwość ludzka nie ma granic; i dla tego choć o bijatyce pomału zapomniano, nie zapomniano jednak o plotce najprzód rozniesionej przez Walkową. Po troszku więc, po malutku zaczęto ją sobie przypominać, dodawać ten troszkę, ów troszkę, aż znowu takiego stworzono cudaka, że już i bajka, co baby przy kądzieli opowiadają, nie będzie lepszą i ciekawszą. Z tego ma się rozumieć, szło coraz większe rozdwojenie między dworem i gromadą, i byłoby Bóg wie do jakiej wzajemnej przyszło niechęci, ale na szczęście powrócił do wsi Janek Goździak i jednej niedzieli, kiedy się ludziska zgromadzili do niego, wysłuchawszy wszystkich żalów i podejrzeń, rzekł:

— Moi ludzie, z takiej waszej podejrzliwości do dworu, smutno mi się bardzo robi na sercu. Długoby wam trzeba gadać, żeby was przekonać, że dwór to jest dla was jak ojciec albo matka, że czego od ojców swych nie dostaniecie, to pewno

u cudzych ludzi tego nie znajdziecie. Bo i kajże idzie dziecko, jeżeli nie do swych ojców? A kajże tacy rodzice, coby swym dzieciom nie radzi byli choćby nieba przychylić? Moi sąsiedzi wierzcie mi, wierzcie mojej siwej głowie, dopóty nie będzie dobrze dla was, dopóki nie będziecie dziedziców mieć za swych ojców, bo i oni was za swe dzieci uznają. Wreszcie moi kochani choćby i który dziedzic był taki niesumienny, coby chciał przed gromadą pieniądze utaić, toby nie mógł, bo wiecie dobrze, że to żartu nie ma, to ciężka za to odpowiedzialność.

Jeszcze tam więcej gwarzono, jeszcze i to i owo wywodzono, ale Janek tak im wszystko dokumentnie przekładał, że chłopiska na końcu przecie uwierzyli, iż co robią panowie dla chłopów, to wszystko z dobrej woli, i że należy im wierzyć we wszystkiem, boć oni i rozumniejsi i lepiej jak chłopi każdą rzecz znają. Poczciwe i mądre słowo kiedy trafi do rozumu, to wnet dochodzi i do serca, a jak w sercu się pomieści, to już dobrze, to pewno człek stał się lepszym, i za wszystko złe co mógł zrobić żałuje. Wszystko to stało się z tymi w gromadzie, co najwięcej narobili o owe pieniądze harmideru, bo gdy poznali, że się w sądzie swym pomylili, naprzód zawstydzili się tak, że z nikim ze dworu nie śmieli się spotkać, a przed dziedzicem oczy w dół spuszczali; potem taka im żałość serce ogarnęła, że póty nurkowali, póty zachodzili, aż przydybali dziedzica na ganku i tam całując go po kolanach, mówili:

— Wielmożny panie! przebacz, bo my to wszystko robili nie ze złości, jeno z głupoty. Przebacz, przebacz wielmożny panie!

Dziedzic popodnosił ich i rzekł z dobrocią:

— Moje dzieci, ja się też na was nie gniewałem, tylko prosiłem Boga, żeby was oświecił. Ażeby wasze dzieci ustrzeżone zostały od podobnych wypadków, to nauczajcie ich, żeby nas kochali, szanowali i uważali za swych przyjaciół. Gdy to w nich wpoicie, Bóg wam to jeszcze na tym świecie wynagrodzi, bo będziecie ludzi z sobą łączyć a nie rozdzielać, więc po świecie siać będziecie zgodę i miłość, a nie rozłąkę i nieprzyjaźń. Postępowanie zaś takie Bóg błogosławi, bo im więcej miłości na ziemi między ludźmi, tem więcej szczęścia, boć przecie sam Bóg jest samą mądrością i najczystszą miłością.

— Oj! prawda, oj prawda, odezwali się włościanie z niskiemi ukłonami, święte słowa wielmożnego pana, gdyby to wszyscy ludzie chcieli tak postępować, toby inaczej było na świecie.

Km.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: E. Winiarz.